EDWARD MORGAN FORSTER

MASZYNA STAJE

STATEK POWIETRZNY

Wyobraźcie sobie, jeśli potraficie, mały pokój w kształcie sześciokąta, niby komórka w plastrze miodu. Nie oświetla go ani okno ani lampa, a jednak pokój jest wypełniony łagodnym blaskiem. Brak wszelkich otworów wentylacyjnych, a mimo to powietrze jest świeże. Nie widać żadnych instrumentów muzycznych, a jednak w momencie gdy rozpoczynają się moje rozważania, pokój pulsuje melodyjnymi dźwiękami. Na środku stoi fotel, a tuż obok pulpit - i one stanowią całe umeblowanie. W fotelu zaś spoczywa bryła ciała pozawijana niby mumia - jest to kobieta wzrostu około pięciu stóp, o twarzy białej jak pieczarka. Do niej właśnie należy ów niewielki pokój.

Zadźwięczał elektryczny dzwonek.

Kobieta dotknęła przełącznika i muzyka ucichła.

„Chyba muszę zobaczyć, kto to taki", pomyślała i uruchomiła krzesło.

Podobnie jak muzyka, krzesło było zdalnie sterowane przez urządzenie mechaniczne i przewiozło ją do tej części pokoju, gdzie dzwonek wciąż brzęczał natarczywie.

- Kto tam? - spytała.

Odezwała się poirytowanym głosem, bowiem od chwili kiedy zaczęła słuchać muzyki, często jej przerywano. Znała kilka tysięcy osób; w niektórych dziedzinach kontakty międzyludzkie rozwinęły się kolosalnie.

Lecz kiedy usłyszała głos w słuchawce, jej biała twarz zmarszczyła się w uśmiechu i powiedziała:

- Bardzo dobrze. Porozmawiajmy. Odizoluję się. Nie sądzę, by w ciągu najbliższych pięciu minut miało wydarzyć się coś ważnego - gdyż mogę ci poświęcić aż pięć minut, Kuno. Potem muszę wygłosić wykład na temat „Muzyka Okresu Australijskiego".

Dotknęła gałki izolacji, aby nikt inny nie mógł z nią rozmawiać. Potem dotknęła aparatu świetlnego i pokoik pogrążył się w ciemności.

- Pośpiesz się! - zawołała z ogarniającą ją znów irytacją. - Pośpiesz się, Kuno; siedzę tu w ciemnościach i marnuję czas.

Upłynęło jednak pełnych piętnaście sekund, zanim okrągła płytka, którą trzymała w dłoni, rozjarzyła się. Przemknęło po niej sine światło, pociemniało aż do purpury i niebawem mogła już

zobaczyć podobiznę syna, który mieszkał na drugim krańcu ziemi, a też ją widział.

- Kuno, jaki ty jesteś powolny.

Uśmiechnął się z powagą.

- Jestem więcej niż pewna, że lubisz mitrężyć czas.

- Dzwoniłem już przedtem, Matko, ale zawsze byłaś albo zajęta, albo odizolowana. Mam do powiedzenia coś osobliwego.

- Co to takiego, najdroższy chłopcze? Pospiesz się. Dlaczego nie mogłeś tego przesłać pocztą pneumatyczną?

- Ponieważ wolę przekazać taką rzecz ustnie. Chcę...

- No?

- Chcę, żebyś przyjechała zobaczyć się ze mną.

Waszti przyjrzała się jego twarzy na sinej płytce.

- Ależ ja ciebie widzę! - wykrzyknęła. - Czego jeszcze chcesz?

- Chcę zobaczyć ciebie nie za pośrednictwem Maszyny - rzekł Kuno. - Chcę porozmawiać z tobą bez pośrednictwa tej nudnej Maszyny.

- Cicho! Sza! - powiedziała matka, lekko zgorszona. - Nie wolno ci nic mówić przeciw Maszynie.

- Dlaczego?

- Bo nie wolno.

- Mówisz tak, jak gdyby Maszynę stworzyło jakieś bóstwo! - krzyknął. - Jestem przekonany, że modlisz się do niej, kiedy jesteś nieszczęśliwa. Nie zapominaj, że to ludzie ją zrobili. Wielcy ludzie, lecz tylko ludzie. Maszyna znaczy dużo, ale nie jest wszystkim. Na płytce widzę coś, co jest do ciebie podobne, ale ciebie nie widzę. To, co słyszę przez telefon, przypomina twój głos, lecz nie ciebie słyszę. Dlatego chcę, żebyś przyjechała. Przyjedź i zatrzymaj się u mnie. Złóż mi wizytę, żebyśmy mogli spotkać się twarzą w twarz i porozmawiać o nadziejach, jakie żywię w sercu.

Odparła, że z trudem może wykroić czas na wizytę.

- Statek powietrzny pokonuje przestrzeń między tobą a mną w dwa zaledwie dni.

- Nie lubię statków powietrznych.

- Dlaczego?

- Nie lubię widoku brunatnej, odrażającej ziemi, morza oraz gwiazd, gdy się ściemni. W statku powietrznym nie miewam żadnych koncepcji.

- Ja nie miewam ich w żadnym innym miejscu.

- Jakiego typu myśli może ci podsunąć powietrze?

Zawahał się przez moment.

- Czyżbyś nie znała czterech dużych gwiazd, które tworzą prostokąt i trzech gwiazd skupionych w środku tego prostokąta oraz zawieszonych przy nich trzech innych gwiazd?

- Nie, nie znam. Nie lubię gwiazd. Ale czy tobie podsunęły jakąś myśl? Bardzo zajmujące; powiedz mi.

- Przyszło mi do głowy, że są podobne do człowieka.

- Nie rozumiem.

- Cztery duże gwiazdy tworzą ramiona i kolana człowieka. Trzy gwiazdy w środku przypominają pas, jaki człowiek kiedyś nosił, a te wiszące trzy są jak miecz.

- Miecz?

- Ludzie nosili przy sobie miecze, do zabijania zwierząt i innych ludzi.

- Nie przemawia to do mnie jako szczególnie dobry pomysł, ale jest niewątpliwie oryginalny. Kiedy wpadłeś na to po raz pierwszy?

- W statku powietrznym.

Urwał, a matce zdawało się, że posmutniał. Pewności mieć nie mogła, gdyż Maszyna nie przekazywała niuansów w wyrazie twarzy. Dawała jedynie ogólne pojęcie o ludziach - pojęcie, które jest wystarczająco dobre do wszelkich praktycznych celów, pomyślała Waszti. Nieuchwytny urok uznawany przez pewną wątpliwą filozofię za prawdziwą istotę kontaktów międzyludzkich słusznie został pominięty przez Maszynę. Tak samo zresztą jak producenci sztucznych owoców pomijali nieuchwytny urok winogron. Rasa nasza od dawna już przystała na coś, co jest „całkiem niezłe”.

- Prawda jest taka - podjął Kuno - że chcę te gwiazdy _zobaczyć jeszcze raz. To ciekawe gwiazdy. Chcę zobaczyć je nie ze statku powietrznego, lecz z powierzchni ziemi, jak robili nasi przodkowie, przed tysiącami lat. Chcę zwiedzić powierzchnię ziemi.

Waszti znowu była zgorszona.

- Matko, musisz przyjechać choćby po to tylko, by wytłumaczyć mi, dlaczego przestępstwem jest zwiedzanie powierzchni ziemi.

- To żadne przestępstwo - odparła, opanowując się. - Ale też żaden zysk. Powierzchnia ziemi to jedynie proch i muł, życie na niej się nie ostało i będziesz potrzebował respiratora, bo w przeciwnym wypadku zginiesz od chłodu powietrza zewnętrznego. W atmosferze na zewnątrz umiera się natychmiast.

- Wiem; oczywiście nie pominę żadnego środka ostrożności.

- A poza tym...

- Tak?

Zastanawiała się i starannie dobrała słowa. Syn jej miał dziwaczne usposobienie, a ona pragnęła wyperswadować mu wyprawę.

- Jest to sprzeczne z duchem czasu - stwierdziła.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że sprzeczne z Maszyną?

- W jakimś sensie tak, ale...

Podobizna na sinej płytce zatarła się.

- Kuno!

Odizolował się.

Przez moment Waszti czuła się osamotniona.

Potem włączyła światło i widok pokoju zalanego blaskiem i upstrzonego przyciskami dodał jej życia. Przyciski i przełączniki były wszędzie - przyciski do zamawiania jedzenia, muzyki, ubrania. Był guzik do gorącej kąpieli, po naciśnięciu którego wanna z marmuru (imitacji) wyrastała z podłogi, napełniona po brzegi ciepłym, pozbawionym zapachu płynem. I guzik do kąpieli zimnej. Oraz guzik, który dostarczał literatury. No i oczywiście były przyciski, dzięki którym porozumiewała się ze swymi przyjaciółmi. Pokój, w którym właściwie nic nie było, miał kontakt ze wszystkim, co na tym świecie przedstawiało dla niej wartość.

Następną czynnością Waszti było wyłączenie izolacji i natychmiast osaczyło ją wszystko to, co nagromadziło się w przeciągu ostatnich trzech minut. Pokój wypełnił się zgiełkiem dzwonków i rur głosowych. Jakie jest nowe pożywienie? Czy może je polecić? Czy miała ostatnio jakieś

pomysły? Czy można przekazać jej własne koncepcje? Może by się zgodziła na spotkanie w niedalekiej przyszłości, powiedzmy od dziś za miesiąc, celem zwiedzenia publicznych ochronek?

Na większość z tych pytań odpowiadała z irytacją - cechą coraz bardziej powszechną w tej epoce pośpiechu. Powiedziała, że nowe pożywienie jest ohydne. Że wobec natłoku zaplanowanych spraw nie może zwiedzać publicznych ochronek. Że nie ma żadnych własnych koncepcji, ale właśnie dowiedziała się o jednej - iż cztery gwiazdy z trzema w środku są podobne do człowieka; wątpi, czy to wiele warte. Następnie wyłączyła .rozmówców, bowiem nadszedł czas wygłoszenia wykładu o muzyce australijskiej.

Od dawna już zarzucano niewygodny system zebrań publicznych; ani Waszti, ani jej słuchacze nie ruszali się na krok ze swoich pokoi. Ona, usadowiona w fotelu, mówiła, oni zaś, też w fotelach, słyszeli ją, dość dobrze, i widzieli, dość dobrze. Rozpoczęła humorystycznym opisem muzyki w epoce przed Mongołami i przeszła do opisu wielkiego rozkwitu pieśni, jaki nastąpił po podboju przez Chiny. Odległe wprawdzie i pierwotne były metody I - San - So oraz szkoły brisbańskiej, jednak ona czuje (tak powiedziała), że studia nad nimi mogłyby wiele dać dzisiejszym muzykom: odznaczają się bowiem świeżością, a co najważniejsze, zawierają idee.

Dobrze przyjęto wykład, który trwał dziesięć minut, a na zakończenie ona i liczni słuchacze posłuchali wykładu o morzu; pewne pomysły dałyby się czerpać z morza - mówca po przywdzianiu respiratora zwiedził je niedawno. Następnie Waszti najadła się, porozmawiała z wieloma przyjaciółmi, wykąpała się, znowu porozmawiała i przyzwała łóżko.

Łoże nie odpowiadało jej gustom. Było zbyt duże, a ona miała upodobania do niewielkich łóżek. Jednak reklamacje były bezcelowe, gdyż na całym świecie łóżka miały te same rozmiary, a zapewnienie innego wariantu wymagałoby olbrzymich zmian w Maszynie. Waszti odizolowała się - było to konieczne, bowiem pod ziemią nie istniały ni dzień ni noc - i zrobiła przegląd wszystkiego, co się wydarzyło od ostatniego wezwania łóżka. Idee? Właściwie żadne. Wydarzenia - czy zaproszenie od Kuna można nazwać wydarzeniem?

Obok niej, na małym pulpicie, leżała pozostałość po minionych epokach śmieci - jedna książka. Była to Księga Maszyny. Zawierała wskazówki na każdą ewentualność. Gdy Waszti było gorąco lub zimno, miała niestrawność albo nie mogła się wysłowić, kierowała się do Księgi, która informowała ją, jaki przycisk nacisnąć. Wydana została przez Komitet Centralny. Zgodnie z

narastającą tendencją była bogato oprawiona.

Siedząc już w łóżku Waszti z uszanowaniem wzięła Księgę do rąk. Rozejrzała się po rozświetlonym pokoju, tak jakby podejrzewała, że może ją ktoś obserwować. Po czym, na poły zawstydzona i na poły rozradowana, wyszeptała „Maszyno! Maszyno!” i podniosła tom do ust. Trzykrotnie złożyła na nim pocałunek, trzykrotnie pochyliła głowę, trzykrotnie ogarnęło ją błogie uczucie, że została wysłuchana. Po zakończeniu obrządku znalazła stronę 1367, gdzie podawano godziny odlotu statków powietrznych z wyspy na półkuli południowej, pod której glebą mieszkała, w kierunku wyspy na półkuli północnej, w głębi której mieszkał jej syn.

Pomyślała: „Nie mam czasu”.

Zaciemniła pokój i usnęła; obudziła się i pokój rozjaśniła; posiliła się i wymieniła poglądy z przyjaciółmi, posłuchała muzyki i uczestniczyła w wykładach; zaciemniła pokój i usnęła. Nad nią, pod nią i wokół niej odwiecznie szumiała Maszyna; Waszti nie zauważała szmeru, ponieważ urodziła się mając go w uszach. Ziemia, która ją nosiła, szumiała mknąc wśród ciszy i obracała Waszti raz ku niewidzialnemu słońcu, to znów ku niewidzialnym gwiazdom. Waszti zbudziła się i rozjaśniła pokój.

- Kuno!

- Nie będę z tobą rozmawiał - odezwał się - póki nie przyjedziesz.

- Czy od czasu naszej ostatniej rozmowy byłeś na powierzchni ziemi?

Jego podobizna zatarła się.

Znowu Waszti poradziła się Księgi. Zdenerwowała się bardzo i opadła na fotel z rozkołatanym sercem. Wyobraźmy ją sobie bez zębów czy włosów! Niebawem skierowała fotel pod ścianę i nacisnęła nieznany przycisk. Ściana z wolna rozsunęła się. Przez otwór Waszti zobaczyła tunel, który lekko skręcał i dlatego nie było widać, dokąd prowadzi. Gdyby zdecydowała się odwiedzić syna, początek podróży znajdował się właśnie tutaj.

Oczywiście wiedziała wszystko o sieci komunikacyjnej. Nie było w tym żadnych tajemnic. Zawezwie wagon, który poniesie ją tunelem aż do windy stanowiącej połączenie z dworcem statków powietrznych; system ów był już w użyciu od bardzo wielu lat, na długo przed powszechnym ustanowieniem Maszyny. I oczywiście Waszti przestudiowała cywilizację, która bezpośrednio poprzedzała obecną - cywilizację, która opacznie pojęła funkcje systemu i korzystała

z niego w celu dowożenia ludzi do rzeczy zamiast dostarczania rzeczy ludziom. Takie komiczne dawne czasy, kiedy ludzie podróżowali dla zmiany powietrza zamiast zmienić powietrze w swoich pokojach. A jednak - tunel napawał ją strachem; nie widziała go od czasu, gdy urodziła ostatnie dziecko. Skręcał, ale niezupełnie tak, jak sobie przypominała; był jasny - lecz nie aż tak oślepiająco, jak to podawał pewien wykładowca. Waszti znalazła się w szponach panicznego lęku przed osobistym doświadczeniem. Wycofała się do pokoju i ściana znów się zamknęła.

- Kuno - powiedziała - nie mogę przyjechać cię odwiedzić. Nie czuję się dobrze.

W mgnieniu oka ogromny aparat zawisł nad nią u sufitu, termometr automatycznie wsunął się w usta, na sercu automatycznie ułożył się stetoskop. Leżała bezsilna. Chłodne tampony koiły skroń. Kuno telegraficznie zawezwał jej lekarza.

Tak to ludzkie namiętności tłukły się jeszcze tu i ówdzie po Maszynie. Waszti wypiła lekarstwo, które lekarz wstrzyknął jej w usta, i urządzenie wycofało się na swoje miejsce w suficie. Dał się słyszeć głos Kuna pytającego o jej samopoczucie.

- Lepiej. - A potem ze zniecierpliwieniem: - Ale dlaczego właściwie to ty do mnie nie przyjedziesz?

- Ponieważ nie mogę opuścić tego miejsca.

- Dlaczego?

- Ponieważ lada moment może zdarzyć się coś doniosłego.

- Czy byłeś już na powierzchni ziemi?

- Jeszcze nie.

- Więc o co chodzi?

- Za pośrednictwem Maszyny nie powiem ci.

Waszti powróciła do normalnego życia.

Myślała jednak o Kunie, o jego dzieciństwie - narodzinach, przeniesieniu do publicznych ochronek, o swej jedynej tam wizycie i jego odwiedzinach u niej - odwiedzinach, które ustały z chwilą, gdy Maszyna przydzieliła mu pokój na drugim krańcu świata. „Rodzice: ich obowiązki”, informowała księga Maszyny, „ustają w momencie narodzin. Str. 422327483”. Prawda, lecz w przypadku Kuna było coś szczególnego - trzeba przyznać, że wszystkie jej dzieci miały w sobie coś szczególnego - no i zważywszy wszystko, musi odważyć się na tę podróż, jeżeli syn sobie tego

życzy. „Coś doniosłego może się wydarzyć”.. Co to miało oznaczać? Bez wątpienia jest to niedorzeczność młokosa, ale przecież musi pojechać. Znowu nacisnęła nieznany przycisk, znowu ściana rozsunęła się i Waszti zobaczyła tunel, który skręcał w nieznane. Kurczowo ściskając Księgę wstała, chwiejnym krokiem podreptała na peron i zawezwała wagon. Pokój zamknął się za jej plecami; rozpoczęła się podróż na półkulę północną.

Oczywiście było to dziecinnie łatwe. Kiedy podjechał wagon, ujrzała w nim fotele dokładnie takie same, jak we własnym pokoju. Na dany przez nią znak wagon zatrzymał się i Waszti niepewnie podreptała do windy. W windzie znajdował się jeszcze jeden pasażer; po raz pierwszy od wielu miesięcy spotkała się twarzą w twarz i podobną sobie istotą. Podróżnych w tych czasach było niewielu, gdyż dzięki zdobyczom nauki ziemia wzdłuż i wszerz była dokładnie taka sama. Błyskawiczne kontakty, po których poprzednia cywilizacja spodziewała się tak wiele, zakończyły się samozagładą. Co za sens podróżować do Pekinu, który wygląda akurat tak, jak Shrewsbury? Po co wracać do Shrewsbury, skoro będzie takie samo jak Pekin? Ciało człowieka rzadko znajdowało się w ruchu; wszystek niepokój skoncentrował się w duszy.

System statków stanowił relikt z poprzedniej epoki. Utrzymywano go, ponieważ kontynuować było łatwiej niż zlikwidować lub ograniczyć; obecnie jednak jego zakres znacznie przekroczył potrzeby ludzkości. Pojazd za pojazdem wznosił się z womitoriów Rye czy Christchurch (używam nazw antycznych), żeglował po zatłoczonym niebie i zatrzymywał się przy nabrzeżach na .południu - pusty. Tak przemyślnie ułożony był ten system, tak niezależny od warunków atmosferycznych, że niebo - czyste bądź zachmurzone - przypominało gigantyczny kalejdoskop, w którym regularnie powtarzał się ten sam wzór. Statek, którym podróżowała Waszti, startował raz o zachodzie słońca, raz o świcie. Niezmiennie jednak kiedy przelatywała nad Reims, napotykał statek kursujący między Helsinkami a Brazylią, zaś za każdym trzecim przelotem nad Alpami trasę jego przecinała od tyłu flota lotnicza z Palermo. Dzień czy noc, wiatr czy burza, przypływ czy trzęsienie ziemi nigdy już nie stanowiły przeszkody dla człowieka. Okiełznał Lewiatana. Cała dawna literatura opiewająca uroki Natury i opisująca bojaźń w jej obliczu brzmiała równie fałszywie, jak bajdurzenie dziecka.

Mimo to, gdy Waszti zobaczyła potężny kadłub statku zbrukany wskutek kontaktu z powietrzem zewnętrznym, powróciła jej odraza do bezpośredniego doświadczenia. Przecież to nie

to samo, co statek w kinematofonie. Po pierwsze, wydzielał zapach - wprawdzie nie silny czy nieprzyjemny, ale zapach jednak miał i nawet z zamkniętymi oczami wiedziałaby, że w pobliżu znajduje się nowy przedmiot. Poza tym od windy musiała podejść do niego pieszo, musiała znieść spojrzenia innych pasażerów. Człowiek idący przed nią upuścił Księgę - niby nic wielkiego, ale we wszystkich wzbudził niepokój. Jeżeli ktoś upuścił Księgę w swoim pokoju, podłoga podniosła ją mechanicznie, lecz przejście do statku nie było w ten sposób przystosowane, więc święty tom leżał, tak jak upadł. Zatrzymali się - była to rzecz nieprzewidziana - a mężczyzna, zamiast podnieść swą własność, pomacał mięśnie ramion, aby sprawdzić, jak to się stało, że go zawiodły. Potem, niebywałe, ktoś odezwał się bezpośrednio: „Spóźnimy się" - więc wszyscy pomaszerowali na pokład, a Waszti nadepnęła przy rym na Księgę.

Wewnątrz statku jej niepokój wzmógł się. Ujrzała wyposażenie staroświeckie i niewyszukane. Była nawet przewodniczka i w czasie podróży Waszti zmuszona będzie przekazywać jej swoje życzenia. Oczywiście przez całą długość statku biegł ruchomy chodnik, lecz z peronu do kabiny Waszti zobowiązana była przejść sama. Jedne kabiny lepsze były od drugich, a Waszti nie otrzymała najlepszej. Pomyślała, że przewodniczka postąpiła niesprawiedliwie, i zatrzęsła się z oburzenia. Szklane zasuwy zamknęły się i już nie mogła wyjść. Przy końcu westybulu zobaczyła, że winda, którą wjechała na górę, jeździ pusta w tę i z powrotem. Pod tymi korytarzami z lśniących płytek mieściły się pokoje, jeden rząd po drugim, i zachodziły daleko w głąb ziemi, a w każdym z nich siedziała istota ludzka, która jadła, spała i wytwarzała pomysły. Zagrzebany głęboko w rym ulu był i jej pokój. Waszti bała się.

- Ach, Maszyno! Maszyno! - wyszeptała i pogładziła Księgę; doznała ulgi.

Potem ściany westybulu jakby zlały się w jedną, podobnie jak to dzieje się z przejściami, które widujemy w snach, winda zniknęła, upuszczona księga zsunęła się na lewą stronę i również zniknęła, wypolerowane płytki pędziły niby strumień wody, dał się odczuć nieznaczny wstrząs i statek powietrzny wydostał się z tunelu i poszybował nad wodami tropikalnego oceanu.

Była noc. Przez moment Waszti widziała wybrzeże Sumatry wyraźnie okolone fosforyzującymi falami i zwieńczone latarniami morskimi, które niezmiennie wysyłały w świat niepotrzebne już snopy światła. Wkrótce zniknęły też i one i jedynie gwiazdy odwracały uwagę Waszti. Nie tkwiły w miejscu, lecz ponad jej głową kołysały się to w tę, to w tamtą stronę,

przesuwając się od jednego świetlika do drugiego, tak jakby to nie statek powietrzny, ale cały wszechświat kołysał się na boki. I tak, jak to się zdarza w pogodne noce, raz zdawały się w perspektywie, to znowu w płaszczyźnie; niekiedy układały się piętrowo i rząd za rzędem wstępowały w nieskończone niebiosa, albo wreszcie skrywały nieskończoność tworząc pułap, który na zawsze ogranicza pole wyobraźni człowieka. W każdym razie zdawały się nie do zniesienia.

- Czy mamy podróżować w ciemnościach? - zawołali pasażerowie i przewodniczka, która nie dopatrzyła sprawy, włączyła światło i opuściła zasłony z giętkiego metalu. Kiedy budowano statki powietrzne, na świecie wciąż jeszcze pokutowało pragnienie, by oglądać rzeczy z bliska. Stąd ta niezwykła ilość świetlików oraz okien i proporcjonalna do tego udręka istot cywilizowanych i dystyngowanych. W kabinie Waszti jedna gwiazda nawet przezierała przez szczelinę w zasłonie, zaś po kilku godzinach niespokojnego snu przeszkodził jej nieznajomy blask, który był świtem.

Choć statek niby tak szybko pędził na zachód, ziemia jeszcze szybciej toczyła się na wschód i wlokła Waszti i jej towarzyszy w kierunku słońca. Nauka zdołała przedłużyć noc, ale tylko troszeczkę, i wielkie kiedyś nadzieje na zneutralizowanie dobowego obrotu ziemi przepadły razem z nadziejami, które były chyba jeszcze śmielsze. „Dotrzymać kroku słońcu", albo nawet je prześcignąć - oto cel, dla którego pobudowano statki powietrzne zdolne osiągać nieprawdopodobną szybkość, sterowane przez największe umysły epoki. Pośród aplauzu ludzkości krążyły wciąż naokoło globu, bezustannie na zachód, wciąż naokoło. Na próżno. Kula ziemska jeszcze szybciej pędziła na wschód i zdarzały się przerażające wypadki, więc Komitet Maszyny, który właśnie wtedy nabierał znaczenia, ogłosił, że pogoń ta jest nielegalna, niemechaniczna i podlega karze Bezdomności.

O Bezdomności jeszcze będzie mowa.

Bez wątpienia Komitet miał rację. Jednakże to usiłowanie, by „pokonać słońce", wzbudziło ostatnio wspólne zainteresowanie, jakiego nasza rasa doświadczyła w stosunku do ciał niebieskich, a po prawdzie w stosunku do czegokolwiek. Wtedy to ostatni raz ludzie tworzyli wspólnotę dzięki myśleniu o żywiole poza światem. Zwyciężyło słońce, a jednak był to kres jego duchowego panowania. Świt, południe, zmierzch, pas zodiakalny nie dotyczyły ani życia ludzi, ani ich serc, a nauka wycofała się pod ziemię, by skupić się na problemach, które z pewnością rozwiąże.

Toteż kiedy Waszti zobaczyła, że do kabiny wtargnął różany palec światła, ogarnęło ją rozdrażnienie i starała się dociągnąć zasłonę. Tymczasem zasłona umknęła aż po samą górę i Waszti zobaczyła w świetliku małe różowe chmurki rozkołysane na tle błękitu, a skoro tylko słońce wzniosło się wyżej, jego blask dostał się do środka bez przeszkód i spłynął po ścianie niby złote morze. Wznosił się i opadał zgodnie z ruchem statku, podobnie jak wznoszą się i opadają fale, lecz zbliżał się nieubłaganie, tak jak zbliża się przypływ. Jeżeli Waszti nie zabezpieczy się, blask padnie jej na twarz. Przeszył ją paroksyzm lęku i zadzwoniła na przewodniczkę. Przewodniczka też była przerażona, ale nie mogła nic zrobić; nie w jej gestii leżało naprawianie zasłon. Jedyne, co mogła zaproponować, to żeby szanowna pasażerka zmieniła kabinę i Waszti niezwłocznie zaczęła się do tego przygotowywać.

Na całym świecie ludzie byli niemal zupełnie do siebie podobni, ale przewodniczka statku powietrznego, może skutkiem swych wyjątkowych obowiązków, odstawała trochę od powszechnego modelu. Często bywała zmuszona zwracać się do pasażerów bezpośrednio i dlatego jej sposób bycia nabrał pewnej szorstkości i oryginalności. W momencie, gdy Waszti z okrzykiem uchyliła się gwałtownie przed promieniem słonecznym, przewodniczka zachowała się wprost po barbarzyńsku - wyciągnęła rękę, by ją podtrzymać.

- Jak pani śmie! - zawołała pasażerka. - Pani się zapomina!

Kobieta zmieszała się i przeprosiła Waszti za to, że nie pozwoliła jej upaść. Teraz ludzie nigdy nie dotykali się nawzajem. Zwyczaj ten stał się przeżytkiem, dzięki Maszynie.

- Gdzie teraz jesteśmy? - spytała Waszti wyniośle.

- Jesteśmy nad Azją - odpowiedziała przewodniczka siląc się na uprzejmość.

- Azją?

- Musi mi pani wybaczyć ten pospolity sposób wysławiania się. Nabrałam zwyczaju stosowania niemechanicznych nazw miejsc - nad którymi przelatuję.

- O, ja pamiętam Azję. Stamtąd pochodzili Mongołowie.

- Pod nami, na wolnym powietrzu, leżało miasto, które ongiś nazywało się Simla.

- Czy słyszała pani kiedyś o Mongołach i o szkole brisbańskiej?

- Nie.

- Brisbane też rozciągało się na wolnym powietrzu.

- Te góry na prawo - pozwoli pani, że je pokażę.

Odsunęła metalową zasłonę. Ukazał się główny łańcuch Himalajów.

- Nazywano to kiedyś Dachem Świata, te właśnie góry.

- Co za niemądra nazwa!

- Musi pani pamiętać, że przed zaraniem cywilizacji wydawały się nieprzystępnym murem, który sięgał gwiazd. Sądzono, że oprócz bogów nikt nie może pokonać tych szczytów. Jakiego postępu dokonaliśmy, dzięki Maszynie!

- Jakiego postępu dokonaliśmy, dzięki Maszynie! - rzekła Waszti.

- Jakiego postępu dokonaliśmy, dzięki Maszynie! - jak echo powtórzył pasażer, który poprzedniego wieczoru upuścił Księgę, a teraz stał w przejściu.

- A ta biała masa w rozpadlinach? - co to takiego?

- Zapomniałam, jak się nazywa.

- Proszę zakryć okno. Te góry nie nasuwają mi żadnych pomysłów.

Północna strona Himalajów tonęła w głębokim cieniu, zaś indyjskim stokiem właśnie zawładnęło słońce. Lasy wytrzebiono podczas epoki literatury celem produkowania masy celulozowej, ale śniegi budziły się w całej porannej glorii, zaś chmury nadal osłaniały piersi Kanczendzengi. Na nizinach widniały ruiny miast, gdzie skarlałe rzeki przemykały pod murami, przy których widniały gdzieniegdzie ślady womitoriów stanowiących oznaki miast teraźniejszości. Ponad całym krajobrazem pędziły statki powietrzne, które z niewiarygodną butą przecinały nieboskłon we wszystkie strony i nonszalancko nabierały wysokości, kiedy pragnęły uniknąć zakłóceń niższych warstw atmosfery, by pokonać Dach Świata.

- Rzeczywiście zrobiliśmy postępy, dzięki Maszynie - rzekła przewodniczka i metalową zasłoną przesłoniła Himalaje.

Dzień wlókł się niemiłosiernie. Wszyscy pasażerowie siedzieli w swoich kabinach i unikali jeden drugiego z nieomal fizyczną odrazą, pragnąc tylko tego, by na powrót znaleźć się pod powierzchnią ziemi. Było ich ośmiu czy dziesięciu i przeważali młodzi mężczyźni, których wysłano z publicznych ochronek, aby w różnych częściach świata zajęli pokoje niedawno zmarłych. Mężczyzna, który upuścił Księgę, odbywał podróż powrotną do domu. Wysłano go na Sumatrę, aby rasa nie wygasła. Jedynie Waszti podróżowała z własnej woli.

W południe po raz drugi rzuciła okiem na ziemię. Statek powietrzny przecinał kolejne pasmo gór, lecz z powodu chmur Waszti niewiele mogła dojrzeć. Pod nią wznosiły się bloki czarnych skał, które niewyraźnie przechodziły w szare. Miały fantastyczne kształty; jedna z nich przypominała powolnego mężczyznę.

- Brak pomysłów tutaj - mruknęła Waszti i metalową zasłoną przesłoniła Kaukaz.

Wieczorem wyjrzała znowu. Akurat przecinali złociste morze, nad którym położone były liczne wysepki i jeden półwysep.

- Brak pomysłów tutaj - powtórzyła Waszti i metalową zasłoną przesłoniła Grecję.

APARAT NAPRAWCZY

Westybulem, windą, kolejką rurową, wzdłuż peronu, przez rozsuwane drzwi - pokonując w odwrotnej kolejności wszystkie etapy wyjazdu Waszti jednak dotarła do synowskiego pokoju, który był dokładnym odbiciem jej własnego. Właściwie mogłaby z powodzeniem uznać wizytę za zbyteczną. Przyciski, gałki, pulpit z Księgą, temperatura, powietrze, oświetlenie - wszystko zupełnie takie samo. No a jeśli nawet sam Kuno, ciało z jej ciała, stoi tuż przy niej, to jaki z tego pożytek? Była za dobrze wychowana, by uścisnąć mu dłoń.

Odwracając wzrok odezwała się w te słowa:

- Oto jestem. Miałam niewypowiedzianie okropną podróż i mocno cofnęłam się w rozwoju duszy. Nie jest to tyle warte, Kuno, nie jest to aż tyle warte. Mój czas jest zbyt cenny. Światło słoneczne prawie mnie dotknęło i natknęłam się na wysoce nieokrzesanych ludzi. Mogę zatrzymać się tylko na kilka minut. Powiedz, co masz do powiedzenia, i zaraz muszę wracać.

- Zagrożono mi Bezdomnością - rzekł.

Nareszcie spojrzała na niego.

- Zagrożono mi Bezdomnością i czegoś takiego nie mogłem tobie powiedzieć za pośrednictwem Maszyny.

Bezdomność oznacza śmierć. Ofiarę wystawia się na działanie powietrza, które zabija.

- Od czasu naszej ostatniej rozmowy byłem na zewnątrz. Stała się doniosła rzecz, ale oni mnie wyśledzili.

- Niby dlaczego nie miałbyś wychodzić na zewnątrz! - zawołała. Przecież zwiedzanie powierzchni ziemi jest najzupełniej legalne, najzupełniej mechaniczne. Ostatnio wysłuchałam wykładu o morzu: nie ma co do tego żadnych zastrzeżeń, po prostu trzeba zamówić respirator i otrzymać zezwolenie na Wyjście. Jest to wprawdzie coś, czego nie robią ludzie uduchowieni i zaklinałam cię, żebyś tego nie robił, ale nie ma przeciw temu żadnego zastrzeżenia prawnego.

- Nie otrzymałem zezwolenia na Wyjście.

- No to jak się wydostałeś?

- Znalazłem swoją własną drogę.

Nic jej to nie powiedziało i Kuno musiał powtórzyć.

- Swoją własną drogę? - szepnęła. - Ależ to nie byłoby stosowne.

- Dlaczego?

Pytanie oburzyło ją ponad wszelką miarę.

- Zaczynasz odnosić się do Maszyny bałwochwalczo - wycedził zimno. - To, że znalazłem swoją własną drogę, uważasz za niereligijne. Akurat tak samo uważał Komitet, kiedy mi zagroził Bezdomnością.

Rozzłościło ją to.

- Niczego bałwochwalczo nie traktuję - zawołała. - Jestem wysoce postępowa. Nie uważam, abyś był niereligijny, bowiem nie zostało nic, co nazwać można religią. Wszelkie obawy czy przesądy, jakie kiedyś istniały, zostały już zniszczone przez Maszynę. Chodziło mi jedynie o to, że znalezienie własnej drogi jest... A poza tym, nie ma żadnej nowej drogi.

- Tak się zawsze zakłada.

- Nie sposób wydostać się, chyba że przez womitoria, na co jednak trzeba uzyskać zezwolenie na Wyjście. Tak mówi Księga.

- No to Księga się myli, gdyż ja wydostałem się o własnych siłach.

Bowiem Kuno obdarzony był pewną siłą fizyczną.

Były to już czasy, gdy muskularność stanowiła hańbę. W momencie narodzin każde niemowlę poddawano szczegółowym oględzinom i likwidowano wszystkie, które rokowały niewskazaną siłę. Humaniści mogą sobie protestować, ale pozostawienie siłacza przy życiu wcale by nie było prawdziwym miłosierdziem; przy takim trybie życia, do jakiego powołała go Maszyna, nigdy nie zaznałby szczęścia; usychałby z tęsknoty za drzewami do wspinania, za rzekami do pluskania, za łąkami i wzgórzami, które mogłyby stanowić miarę sprawności jego ciała. Człowiek musi być przystosowany do swego otoczenia, prawda? W zaraniu świata ludzkie cherlaki musiały być zrzucane z góry Tajgetos; u schyłku nasi siłacze będą poddawani eutanazji, aby Maszyna mogła się rozwijać, aby Maszyna mogła się rozwijać, aby Maszyna mogła się rozwijać wiecznie.

- Wiesz, że zatraciliśmy poczucie przestrzeni. Twierdzimy „przestrzeń jest unicestwiona", ale unicestwiliśmy nie przestrzeń, lecz poczucie tejże. Zatraciliśmy cząstkę samych siebie. Postanowiłem ją odzyskać i rozpocząłem od przemierzania wzdłuż i wszerz peronu kolejowego przed moim pokojem. Tam i z powrotem, aż do zmęczenia i tym sposobem udało mi się na nowo

uchwycić znaczenie słów „blisko” i „daleko”. „Blisko” oznacza miejsce, do którego mogą mnie szybko doprowadzić własne nogi, nie zaś miejsce, do którego szybko dowiezie mnie pociąg czy statek powietrzny. „Daleko” to miejsce, do którego nie zdołam szybko dojść na własnych nogach; womitorium jest „daleko”, chociaż po zawezwaniu pociągu mógłbym się tam znaleźć w trzydzieści osiem sekund. Człowiek stanowi miarę. To była moja pierwsza lekcja. Nogi człowieka są miarą odległości, jego ręce miarą posiadania, ciało zaś miarą tego wszystkiego, co jest godne, miłości i pożądania oraz silne. Następnie posunąłem się dalej: i to właśnie wtedy wzywałem ciebie po raz pierwszy, a ty uparcie nie chciałaś przyjechać.

To miasto, jak ci wiadomo, zbudowane jest głęboko pod powierzchnią ziemi, ponad którą sterczą jedynie womitoria. Po przemierzeniu wzdłuż i wszerz peronu przed moim pokojem, pojechałem windą na następny peron i również ten zwiedziłem i to samo powtórzyło się z każdym po kolei, aż dotarłem do najwyższego, powyżej którego zaczyna się ziemia. Wszystkie perony są dokładnie takie same i przebywanie na nich dało mi jedynie to, że rozwinąłem zmysł przestrzeni oraz mięśnie. Sądzę, że tym powinienem się był zadowolić - nie jest to znów tak mało - lecz kiedy tak spacerowałem i dumałem, przyszło mi do głowy, że nasze miasta pobudowano przecież w czasach, kiedy ludzie oddychali powietrzem zewnętrznym, i że były wtedy szyby wentylacyjne dla robotników. Nie byłem w stanie myśleć o niczym innym poza tymi szybami wentylacyjnymi. Czy zostały zniszczone przez te wszystkie rury żywnościowe, medyczne, muzyczne, które Maszyna ostatnimi czasy wprowadziła? A może zostały po nich jakieś ślady? Jedna rzecz nie ulegała wątpliwości: jeżeli gdzieś można na nie natrafić, to tylko w tunelach kolejowych najwyższego piętra. We wszystkich innych miejscach nie ma niewykorzystanego skrawka przestrzeni.

Opowiadam tę historię szybko, ale nie myśl, że nie oblatywał mnie strach, albo że twoje odpowiedzi wcale mnie nie deprymowały. Spacerowanie wzdłuż tunelu kolejowego nie jest rzeczą przyjętą, nie jest mechaniczne, nie jest przyzwoite. Nie bałem się, że nadepnę na szynę pod napięciem i zginę. Bałem się czegoś innego mniej namacalnego - zrobienia czegoś, czego nie przewidziała Maszyna. Potem przypomniałem sobie, że „Człowiek jest miarą”, więc brnąłem dalej i po wielu wyprawach znalazłem wylot.

Oczywiście tunele były oświetlone. Wszystko jest światłem, sztucznym światłem, ciemność stanowi wyjątek. Kiedy więc zobaczyłem czarny odstęp między płytami, od razu wiedziałem, że to

wyjątek, i uradowałem się. Wsunąłem rękę - początkowo nie mogłem wcisnąć nic więcej i nieprzytomny ze szczęścia wymachiwałem nią na wszystkie strony. Poluzowałem drugą płytę, wsunąłem głowę i krzyknąłem w ciemność: „Nadchodzę, jeszcze tego dokonam!" a głos mój odbił się echem pośród nie kończących się przejść. Zdało mi się, że słyszę duchy dawno zmarłych robotników, którzy co wieczór powracali do blasku gwiazd i do swych żon, a wszystkie pokolenia, które kiedyś mieszkały na wolnym powietrzu, krzyknęły ku mnie: „Jeszcze tego dokonasz, nadchodzisz".

Urwał. Mimo całej niedorzeczności ostatnie słowa Kuna wzruszyły Waszti. Bowiem niedawno Kuno zgłosił chęć zostania ojcem, a Komitet odrzucił jego prośbę. Kuno nie reprezentował rypu, który Maszyna pragnęła przekazywać dalej.

- Potem nadjechał pociąg. Musnął mnie, lecz wepchnąłem głowę i ręce do dziury. Zdziałałem dość jak na jeden dzień, więc wyczołgałem się na peron, zjechałem windą na dół i zawezwałem łóżko. Och, jakie miałem sny! I znowu dzwoniłem do ciebie, a ty znowu odmówiłaś.

Pokręciła głową i rzekła:

- Przestań. Przestań mówić o takich strasznych rzeczach. Wpędzasz mnie w rozpacz. Przecież ty odrzucasz cywilizację.

- Ale mam na powrót poczucie przestrzeni, a wtedy człowiek nie może spocząć. Postanowiłem wdrapać się do dziury i wspiąć w górę szybu. W tym celu gimnastykowałem ramiona. Dzień po dniu wykonywałem komiczne ruchy, aż do bólu całego ciała, więc wkrótce potrafiłem uwiesić się na rękach i trzymać poduszkę przez długie minuty rozciągnięty na łóżku. Po czym zamówiłem respirator i wyruszyłem.

Początek był łatwy. Zaprawa nieco nadbutwiała, więc w mig usunąłem kilka kolejnych płytek i wgramoliłem się za nimi w ciemność, a duchy zmarłych pokrzepiały mnie. Sam nie wiem, co przez to rozumiem. Mówię po prostu, co czułem. Po raz pierwszy odczuwałem, że odezwał się protest przeciw zgnuśnieniu i że zmarli pokrzepiają mnie w tym samym stopniu, co ja niosę pociechę nienarodzonym. Czułem, że ludzkość istnieje i że istnieje bez przyodziewku. Jakim sposobem mam to wytłumaczyć? Była naga - ludzkość była naga, a te wszystkie rury i przyciski, i maszynerie ani nie przyszły z nami na świat, ani nie opuszczą go razem z nami i ostatecznie nie znaczą tak znów ogromnie, gdy tutaj jesteśmy. Gdybym był silny, pozdzierałbym z siebie całe to

odzienie, jakie miałem na sobie, i wyszedłbym na zewnętrzne powietrze bez powijaków. Lecz nie dla mnie coś takiego, no i chyba też nie dla mojego pokolenia. Wspinałem się z respiratorem, w higienicznym ubraniu, z odżywczymi pigułkami! Lepiej tak niż wcale.

Była tam drabina zrobiona z jakiegoś prastarego metalu. Światło z pociągu padło na najbliższe szczeble i zobaczyłem, że prowadzi ona prosto w górę i nad rumowiska na dnie szybu. Możliwe, że w trakcie budowy nasi przodkowie biegali po niej tam i z powrotem tuzin razy dziennie. Przy wspinaczce ostre krawędzie rozdarły mi rękawice na wylot i krew zalała dłonie. Światło wspomagało mnie trochę, a potem nastąpiła ciemność i co stokroć gorsze, także cisza, która świdrowała uszy na wylot. Maszyna szumi! Czy wiedziałaś o tym? Jej szum przenika naszą krew, a może nawet kieruje naszymi myślami. Kto wie! Wydostawałem się poza zasięg jej władzy. Później pomyślałem: „Ta cisza oznacza, że postępuję źle". Lecz w tejże ciszy dosłyszałem głosy, które ponownie dodały mi sił.

Roześmiał się.

- Były mi bardzo potrzebne. W następnej chwili wyrżnąłem o coś głową.

Waszti westchnęła.

- Dotarłem do jednej z pneumatycznych klap, które chronią nas przed powietrzem zewnętrznym. Zauważyłaś je może ze statku powietrznego. Ciemność była nieprzenikniona; stopami opierałem się o ostatnie szczeble niewidocznej drabiny, ręce miałem pokaleczone; nie potrafię wytłumaczyć, jak przeżyłem ten etap, ale głosy wciąż mi dodawały otuchy, a zatem po omacku zacząłem szukać zacisków. Klapa miała przypuszczalnie około ośmiu stóp średnicy. Przesunąłem po niej dłonią tak daleko, jak sięgnąłem. Była absolutnie gładka. Pomacałem prawie do samego środka. Choć niezupełnie do środka, bo mam za krótką rękę. Wtedy to głos powiedział:

„Skacz! Warto! Może na środku jest rączka i może zdołasz jej się uchwycić i tym samym przybyć do nas twoją własną drogą. A nawet jeżeli nie ma rączki, wobec czego możesz spaść i roztrzaskać się na kawałki - i tak warto: przecież i tak przyjdziesz do nas własną drogą".

Zatem skoczyłem. Była rączka i...

Urwał. W oczach matki zalśniły łzy. Wiedziała, jaki mu los pisany. Jeżeli nie umarł dziś, umrze jutro. Dla kogoś takiego na świecie nie ma miejsca. Ale ta jej litość zaprawiona była niechęcią. Zawstydziła się, że urodziła takiego syna, akurat ona, chociaż była zawsze taka bardzo

poważna i miała w sobie tyle idei. Czy to rzeczywiście ten sam chłopczyk, którego nauczyła posługiwać się klawiszami i przyciskami, któremu udzielała pierwszych lekcji z Księgi? Sam chociażby zarost zniekształcający mu usta wskazuje na to, że staje się on na powrót jakimś półdzikim typem. Dla atawizmu Maszyna nie może mieć litości.

- Była rączka i jednak ją chwyciłem. Wniebowzięty zawisnąłem nad ciemnością, a szum tych wszystkich urządzeń usłyszałem niby ostatni szept w zamierającym śnie. Wszystkie rzeczy, które kiedyś ceniłem, i wszyscy ludzie, z którymi niegdyś rozmawiałem przez rury, jawili mi się nieskończenie mali. Tymczasem rączka obróciła się. Mój ciężar coś uruchomił i powoli wirowałem, a wtem...

Nie potrafię tego opisać. Leżałem z twarzą skąpaną w słońcu. Z nosa i uszu rzuciła się krew i słyszałem przerażający huk. Klapa po prostu została wysadzona z ziemi, ze mną kurczowo jej uczepionym, zaś powietrze wytwarzane tutaj na dole uchodząc przez wylot łączyło się z powietrzem na górze. Trysnęło jak fontanna. Podczołgałem się ku niemu - bowiem powietrze zewnętrzne sprawia ból - i przy krawędzi niejako chłonąłem wielkimi łykami. Respirator wyleciał licho wie gdzie, ubranie rozdarło się. A ja po prostu leżałem z ustami blisko dziury i łykałem tak długo, aż ustało krwawienie. Trudno wyobrazić sobie coś równie zadziwiającego. To zagłębienie w trawie - powiem o nim za chwilę - świecące nad nim słońce - spoza marmurkowych chmur, więc nie oślepiało - ten spokój, niewzruszony spokój, poczucie przestrzeni oraz muskająca mój policzek fontanna naszego sztucznego powietrza! Niebawem wyśledziłem respirator, jak wznosił się i opadał wraz z prądem powietrza wysoko nad moją głową, a jeszcze wyżej leciało wiele statków powietrznych. Lecz ze statków nikt nigdy nie wygląda, a w moim przypadku i tak przecież nie można mnie było zabrać. Toteż leżałem w potrzasku. Słońce sięgało nieco w głąb szybu i oświetlało najwyższy szczebel drabiny, ale nie było sensu choćby próbować dosięgnąć go. Bo albo znowu u wylotu zostałbym podrzucony w górę, albo zleciałbym w dół i zginął. Mogłem jedynie leżeć na trawie, powoli sącząc powietrze i od czasu do czasu rozglądając się wkoło.

Wiedziałem, że jestem w Wessex, gdyż byłem przezorny i przed wyruszeniem wysłuchałem wykładu na ten temat. Wessex leży nad pokojem, w którym rozmawiamy. Kiedyś było to państwo o wielkim znaczeniu. Jego królowie mieli w posiadaniu całe południowe wybrzeże od Andredswald do Kornwalii, natomiast Wansdyke, rozciągające się na wyżej położonych terenach, stanowiło

zabezpieczenie od północy. Wykładowca zajmował się jedynie rozkwitem Wessexu, więc nie wiem, jak długo państwo to pozostawało międzynarodową potęgą, ale też i owa wiedza na nic by mi się nie zdała. Prawdę powiedziawszy, podczas tego epizodu nie mogłem zrobić nic innego, jak roześmiać się. No bo popatrzmy: oto ja, u mego boku pneumatyczna klapa, a respirator podryguje nad głową; otóż cała ta trójka jest uwięziona w zagłębieniu porośniętym trawą i obrzeżonym paprociami.

Po czym Kuno znowu spoważniał.

- Szczęśliwie się złożyło, że to było akurat zagłębienie. Bowiem powietrze zaczęło opadać i wypełniać je, podobnie jak woda wypełnia miskę. Mogłem już odczołgać się kawałek. Niebawem stanąłem. Oddychałem mieszaniną, w której sprawiające ból powietrze przeważało zawsze wtedy, kiedy usiłowałem wspiąć się na zbocze. To już nie było takie straszne. Nie pogubiłem pigułek i nadal byłem w absurdalnie radosnym nastroju, a o Maszynie w ogólne zapomniałem. Teraz jedynym moim celem było dostać się na górę, gdzie rosły paprocie, i rozejrzeć się po wszystkim, co rozciągało się po drugiej stronie.

Wspiąłem się na zbocze. Nowe powietrze nadal było dla mnie zbyt ostre, więc po błyskawicznym rzuceniu okiem na coś szarego stoczyłem się w dół. Słońce zrobiło się bardzo nikłe i przypomniałem sobie, że znajduję się w znaku Skorpiona - o tym też wysłuchałem wykładu. Jeśli słońce jest w znaku Skorpiona, a my znajdujemy się w Wessex, oznacza to, że trzeba się spieszyć co sił w nogach, bo zrobi się za ciemno (jest to pierwszy okruch pożytecznej informacji, jaki kiedykolwiek wyniosłem z wykładu i podejrzewam, że będzie też ostatni). W związku z tym rozpaczliwie starałem się oddychać nowym powietrzem i wysunąć się z mojej sadzawki najdalej, jak się tylko odważyłem. Zagłębienie wypełniało się tak wolno. Chwilami sądziłem, że fontanna tryska z mniejszą energią. Respirator tańczył w powietrzu jakby bliżej ziemi; huk przycichał.

Kuno przerwał.

- Myślę, że to ciebie nie interesuje. Reszta zainteresuje cię jeszcze mniej. Nie ma w tym żadnych koncepcji i żałuję, że naraziłem ciebie na trudy podróży. Za bardzo się różnimy, matko.

Waszti powiedziała, że ma mówić dalej.

- Zrobił się wieczór, nim wszedłem na nasyp. Przez ten czas słońce nieomal czmychnęło z nieboskłonu i nie mogłem dobrze się rozejrzeć. Skoro ty dopiero co przeleciałaś nad Dachem

Świata, pewnie nie zechcesz wysłuchać relacji o malutkich wzgórzach, które ja zobaczyłem - o niskich, bezbarwnych wzgórzach. Jednak dla mnie one żyły, a okrywająca je murawa stanowiła skórę, pod którą grały mięśnie, i poczułem, że w przeszłości wzgórza te pociągały ludzi z nieprzepartą siłą, ludzie zaś darzyli je miłością. Teraz śpią - może na wieki. Obcują z ludzkością w snach. Szczęśliwy ten mężczyzna, szczęśliwa ta kobieta, która zbudzi wzgórza Wessex. Bo chociaż śpią, nie umrą nigdy.

Głos Kuna wzniósł się żarliwie.

- Czy ty nie widzisz, czy nie widzą wszyscy twoi wykładowcy, że to właśnie my obumieramy i że tutaj na dole Maszyna jest jedyną rzeczą, która naprawdę żyje? Stworzyliśmy Maszynę, żeby spełniała naszą wolę, lecz obecnie nie potrafimy zmusić jej do tego, by wolę tę spełniała. Odebrała nam poczucie przestrzeni i zmysł dotyku, wypaczyła wszystkie stosunki międzyludzkie, a miłość sprowadziła do aktu fizycznego; sparaliżowała nasze ciała i naszą wolę, a teraz zniewala nas do tego, byśmy ją czcili. Maszyna rozwija się - lecz nie po naszej linii. Maszyna idzie naprzód - lecz nie do naszego celu. My istniejemy tylko jako cząsteczki krwi, które przepływają przez jej arterie, i gdyby mogła bez nas funkcjonować, pozwoliłaby nam wymrzeć. Och, nie mam lekarstwa - a przynajmniej tylko jedno: niestrudzenie powtarzać ludziom, że oglądałem wzgórza Wessex, tak jak oglądał je Elfryd, gdy rozgromił skandynawskich najeźdźców.

Tymczasem zaszło słońce. Zapomniałem wspomnieć, że między moim wzgórzem a pozostałymi leżał pierścień oparów i że miał barwę perły.

Urwał po raz drugi.

- Mów dalej - ze znużeniem odezwała się matka.

Potrząsnął głową.

- Mów dalej. Już nic z tego, co mówisz, nie może mnie teraz wzruszyć. Jestem uodporniona.

- Miałem zamiar opowiedzieć ci resztę, ale nie mogę; wiem, że nie mogę; żegnaj.

Waszti stała niezdecydowana. Od jego bluźnierstw dygotał każdy jej nerw. Ale była też zaintrygowana.

- Tak się nie robi - zaprotestowała. - Ściągnąłeś mnie z drugiego końca świata, żebym wysłuchała tej twojej historii i jej wysłucham. Powiedz mi - w jak największym skrócie, bo to

przecież niewybaczalna strata czasu - powiedz mi, jak wróciłeś do cywilizacji?

- Ach, to o to ci chodzi - wzdrygnął się. - Chciałabyś posłuchać o cywilizacji. Oczywiście. Czy doszedłem już do tego, jak spadł respirator?

- Nie, ale rozumiem teraz wszystko. Włożyłeś respirator i zdołałeś przejść po powierzchni ziemi aż do womitorium, a stamtąd o twym zachowaniu doniesiono Komitetowi Centralnemu.

- Zupełnie nie tak.

Przejechał dłonią po czole, jakby odpędzał jakieś silne emocje. Po czym, podejmując opowiadanie, znowu się doń zapalił.

- Respirator spadł o zachodzie słońca. O tym, że fontanna jakby osłabła, wspomniałem już, prawda?

- Tak.

- Tuż przed zachodem słońca; i dzięki temu respirator opadł. Jak już mówiłem, o Maszynie zapomniałem całkowicie i w danej chwili nie zwróciłem na to większej uwagi, bo byłem zajęty innymi sprawami. Miałem swój basen powietrza, nad którym mogłem się pochylać, kiedy ostrość zewnętrznego powietrza stawała się nie do zniesienia, a który by się utrzymał przez wiele dni pod warunkiem, że nie zerwałby się wiatr mogący go rozproszyć. Niestety, dopiero kiedy było już za późno, uświadomiłem sobie wreszcie, co oznacza fakt, że powietrze przestało się wydostawać. Widzisz, naprawiono dziurę w tunelu; Aparat Naprawczy już mnie miał.

Jeszcze jedno miałem ostrzeżenie, ale je zlekceważyłem. Nocą niebo zrobiło się bardziej pogodne niż za dnia i księżyc, który znajdował się prawie pół nieba za słońcem, chwilami oświetlał kotlinę zupełnie jasno. Byłem w swym zwykłym miejscu - na granicy między dwiema atmosferami - kiedy zdało mi się, że widzę, jak coś ciemnego przemyka po dnie kotliny i znika w szybie. Karygodnym szaleństwem było to, że zbiegłem na dół. Pochyliłem się nad krawędzią, wytężyłem słuch i zdawało mi się, że słyszę słaby, chroboczący dźwięk w głębi.

Teraz - lecz już było za późno - ogarnęła mnie trwoga. Postanowiłem założyć respirator i po prostu wyjść z kotliny. Tymczasem respirator przepadł. Wiedziałem dokładnie, gdzie upadł - między klapą a szczeliną - i nawet wymacałem ślad, jaki zostawił na murawie. Przepadł, a ja uświadomiłem sobie, że działa jakaś zła moc i najlepiej będzie uciec od tego drugiego powietrza, a jeżeli przyjdzie umrzeć, umrę biegnąc ku tej chmurze, która miała barwę perły. Nie dane mi było

się ruszyć. Z wnętrza szybu - to zupełny koszmar. Glista, długa biała glista wypełzła z szybu i sunęła po oświetlonej księżycem trawie.

Krzyknąłem przeraźliwie. Zrobiłem akurat wszystko to, czego nigdy nie należało robić. Nadepnąłem tę kreaturę zamiast od niej uciekać, a ona natychmiast owinęła mi się wokół kostki. Potem stoczyłem bój. Glista dała mi uciekać po całej kotlinie, ale gdy biegłem, ona powoli coraz wyżej opasywała mi nogę. „Ratunku!" wykrzyknąłem. (Ten epizod jest wprost potworny. Należy do części, której nigdy się nie dowiesz). „Ratunku!" wołałem. (Dlaczego nie umiemy cierpieć w milczeniu?). „Ratunku!" krzyczałem. Później coś omotało mi obie stopy, upadłem, odwleczono mnie od drogich sercu paproci i żyjących wzgórz, obok wielkiej metalowej klapy (tę część mogę tobie opowiedzieć) i pomyślałem, że może znowu się uratuję, jeżeli zdołam uczepić się rączki. Ale również i ona była omotana, również i ona. Och, cała kotlina zaroiła się tymi stworami. Przeszukiwały ją na wszystkie strony, ogołacały ją, a z dziury wysuwały ryje następne, gotowe w razie potrzeby. Zgarniały wszystko, co dało się ruszyć - krzaki, kępy paproci, wszystko, i splątani wszyscy razem zlecieliśmy w dół do piekła. Ostatnią rzeczą, jaką dostrzegłem, nim klapa zatrzasnęła się za nami, były jakieś gwiazdy i poczułem, że na niebie żyje człowiek mojego pokroju. Bowiem jednak walczyłem, walczyłem do samego końca i uspokoiłem się jedynie dlatego, że wyrżnąłem głową o drabinę. Zbudziłem się w rym pokoju. Glisty zniknęły. Byłem otoczony sztucznym powietrzem, sztucznym światłem, sztuczną ciszą, a moi przyjaciele nawoływali mnie przez rury głosowe, żeby dowiedzieć się, czy wpadłem ostatnio na jakieś nowe pomysły.

Na tym skończyła się opowieść Kuna. Dyskutowanie o rym było niepodobieństwem, więc Waszti odwróciła się ku wyjściu.

- Skończy się to Bezdomnością - wyrzekła cicho.

- Pragnę tego - odparł Kuno.

- Maszyna postąpiła nad wyraz miłosiernie.

- Wolę miłosierdzie Boga.

- Czy używając tego zabobonnego wyrażenia chcesz powiedzieć, że mógłbyś żyć w powietrzu zewnętrznym?

- Tak.

- Czy widziałeś kiedyś koło womitoriów kości tych, których wypchnięto po Wielkiej

Rebelii?

- Tak.

- Zostawiono ich tam, gdzie sczeźli ku pouczeniu nas. Paru odpełzło, lecz i oni sczeźli - jak można w to powątpiewać? To samo dzieje się z bezdomnymi naszej doby. Powierzchnia ziemi nie stanowi już ostoi życia.

- Rzeczywiście.

- Paprocie i resztki trawy mogą przetrwać, lecz wszystkie wyższe formy wyginęły. Czy wypatrzył je kiedyś statek powietrzny?

- Nie.

- Czy jakiś wykładowca nimi się zajmował?

- Nie.

- Więc skąd ten upór?

- Ponieważ ja je widziałem - wybuchnął.

- Co takiego widziałeś?

- Ponieważ widziałem ją w zanikającym świetle - ponieważ pospieszyła mi na pomoc, gdy krzyczałem - ponieważ i ona została omotana przez glisty, ale miała więcej szczęścia niż ja, bo zabiła ją glista, która wpiła się w jej gardło.

A więc Kuno postradał zmysły. Waszti odjechała i pośród nieszczęść, które nastąpiły, nigdy już nie zobaczyła jego twarzy.

BEZDOMNI

W ciągu lat, które nastąpiły po ucieczce Kuna, w Maszynie zaszły dwa ważne usprawnienia. Pozornie były rewolucyjne, ale w obu wypadkach umysły ludzkie przygotowano już zawczasu, więc owe usprawnienia stały się jedynie wyrazem kiełkujących już tendencji.

Pierwszym usprawnieniem było zniesienie respiratorów.

Światli myśliciele, tacy jak Waszti, zawsze utrzymywali, że zwiedzanie powierzchni ziemi jest dziecinadą. Statki powietrzne może i są potrzebne, ale jaki zysk daje wychodzenie na górę z czystej ciekawości, po to by milę lub dwie wlec się pojazdem naziemnym? Zwyczaj ten był w złym guście i może nawet odrobinę niestosowny; był też najzupełniej pozbawiony koncepcji i nie miał żadnego związku z obyczajami, które liczą się naprawdę. Toteż zniesiono respiratory, a wraz z nimi oczywiście naziemne pojazdy i pominąwszy kilku wykładowców, którzy uskarżali się, że odcina im się dostęp do przedmiotu ich badań, usprawnienie przyjęto bez szemrania. Ci, którzy nadal pragnęli dowiedzieć się, jaka jest ziemia, mogli przecież posłuchać gramofonu lub popatrzeć w kinematofon. I nawet uczeni pogodzili się, kiedy odkryli, że wykład na temat morza wcale nie jest mniej frapujący, jeżeli spreparuje się go na podstawie innych wykładów wcześniej wygłoszonych na ten sam temat.

- Strzeżcie się idei z pierwszej ręki! - nawoływał jeden z najświatlejszych. - Idee z pierwszej ręki tak naprawdę wcale nie istnieją. Nie są niczym innym jak fizycznymi doznaniami wytworzonymi przez miłość i strach, a któż mógłby wznieść gmach filozofii na tak prostackim fundamencie? Niech raczej wasze koncepcje będą z drugiej ręki, a jeśli możliwe to nawet i z dziesiątej, gdyż wtedy będą bezpiecznie odgrodzone od tego niepokojącego żywiołu - bezpośredniej obserwacji. Nie uczcie się niczego o moim przedmiocie, o Rewolucji Francuskiej. Zamiast tego nauczcie się, co ja sądzę o tym, co Enicharmon sądził, co Urizen sądził, co Gutch sądził, co Ho - Yung sądził, co Chi - Bo - Sing sądził, co Lafcadio Hearn sądził, co Carlyle sądził, co Mirabeu powiedział o Rewolucji Francuskiej. Za pośrednictwem tych ośmiu wielkich umysłów krew przelana w Paryżu i okna potrzaskane w Wersalu zostaną sprowadzone do idei, którą z największym pożytkiem będziecie mogli zastosować w waszym życiu codziennym. Zagwarantować sobie jednak trzeba pośredników licznych i różnorodnych, bowiem w historii jeden

autorytet istnieje po to, by przeciwstawiać się drugiemu. Urizen musi zbijać sceptycyzm Ho - Yunga i Enicharmona; ja sam muszę stanowić przeciwwagę dla zapalczywości Gutcha. Wy wszyscy, którzy mnie słuchacie, jesteście w lepszej niż ja pozycji, by ocenić Rewolucję Francuską. W jeszcze lepszej sytuacji będą wasi potomkowie, gdyż dowiedzą się tego, co myślicie wy, i do łańcucha zostanie dołączony jeszcze jeden pośrednik. A z czasem - głos mówiącego przybrał na sile - nadejdzie pokolenie, które wzniesie się ponad fakty, pokolenie całkowicie bezbarwne, nadejdą potomni „jak niebiańscy serafini osobowością nie skażeni", którzy ujrzą Rewolucję Francuską nie taką, jaka miała miejsce, ani też taką, jaka według nich powinna była się wydarzyć, ale taką, jaka zdarzyłaby się, gdyby przebiegała w dobie Maszyny.

Niebywałym aplauzem nagrodzono ów wykład, który dał jedynie wyraz uczuciu już drzemiącemu w umysłach ludzi - przeświadczeniu, iż ziemskie fakty należy ignorować oraz że zniesienie respiratorów było osiągnięciem pozytywnym. Zaproponowano nawet, aby znieść także i statki powietrzne. Nie uczyniono tego, ponieważ statki jakoś wkręciły się w tryby systemu Maszyny. Lecz z roku na rok coraz mniej z nich korzystano, a ludzie myślący coraz rzadziej o nich napomykali.

Drugim wielkim wydarzeniem było ponowne wprowadzenie religii.

Także i temu dano wyraz w głośnym wykładzie. Pełen uszanowania ton, w jakim zakończyła się ta perora, nie mógł ujść niczyjej uwadze i wzbudził on we wszystkich sercach pełne zrozumienia echo. Tym, którzy od dawna po cichu odprawiali praktyki religijne, teraz otworzyły się usta. Opisywali dziwne uczucie spokoju, jakie na nich spływa, gdy biorą do rąk Księgę Maszyny; przyjemność, jaką stanowi powtarzanie niektórych w niej liczb choćby ucho zewnętrzne łowiło w nich znikome treści; uniesienie ogarniające ich, gdy dotykają przycisku, choćby najbardziej nieistotnego, lub naciskają elektryczny dzwonek, choćby całkiem zbyteczny.

- Maszyna - wołali zgodnie - karmi nas, ubiera i daje dach nad głową; za jej pośrednictwem rozmawiamy ze sobą, za jej pośrednictwem widzimy siebie, w niej zawarte jest nasze istnienie. Maszyna jest przyjacielem idei, a wrogiem przesądu; Maszyna jest wszechmocna, wieczna; błogosławiona niech będzie Maszyna.

I długo nie trwało, nim przemowę tę wydrukowano na pierwszej stronie Księgi, zaś w kolejnych wydaniach praktyka owa rozdymała się w skomplikowany układ pochwał i modłów.

Słowo „religia” pomijano nader skwapliwie i w teorii Maszyna nadal stanowiła wytwór i narzędzie człowieka. W praktyce zaś, wyjąwszy kilku zacofańców, wszyscy oddawali jej cześć boską. Nie była jednak czczona identycznie. Jeden wyznawca pozostawał pod największym wrażeniem błękitnych płytek optycznych, dzięki którym widział innych wiernych; na innym wrażenie robił Aparat Naprawczy, który grzeszny Kuno przyrównywał do glist; ktoś inny wielbił windy, a jeszcze inny Księgę. I każdy zwykł modlić się do tego lub owego i prosił o orędownictwo u Maszyny jako całości. Prześladowania - one też były obecne. Nie wybuchnęły masowo, a to z powodów, które niebawem zostaną wyłuszczone. Istniały jednak w stanie utajenia i wszyscy ci, którzy nie przyjęli minimum znanego jako „Mechanizm bezsekciarski”, żyli pod groźbą Bezdomności, co, jak nam wiadomo, oznacza śmierć.

Przypisywanie tych dwóch wielkich usprawnień Komitetowi Centralnemu oznaczałoby przyjęcie bardzo zawężonego spojrzenia na cywilizację. Komitet Centralny usprawnienia ogłosił, to prawda, ale przecież nie był ich powodem w stopniu większym niż w okresie imperialistycznym królowie bywali przyczyną wojny. Raczej uległ przemożnej presji, która wzięła się nie wiadomo skąd i zaspokojona ustępowała miejsca jakiejś innej presji, równie przemożnej, od której też nie było ucieczki. Poręcznie jest taki stan ochrzcić mianem postępu. Nikt nie wyznał, że Maszyna wymyka się spod kontroli. Z każdym rokiem obsługiwano ją z coraz większą wydajnością oraz coraz mniejszą inteligencją. Im lepiej człowiek znał swoje własne wobec niej obowiązki, tym mniej rozumiał obowiązki sąsiada i na całym świecie nie było nikogo, kto by rozumiał to - monstrum jako całość. Takie mózgi - tytany wyginęły. Zostawili oni szczegółowe wskazówki, to prawda, a każdy z następców oddzielnie opanował jakiś fragment tych instrukcji. Lecz Ludzkość ogarnięta nienasyconym pragnieniem komfortu okpiła samą siebie. Wyeksploatowała bogactwa naturalne ponad wszelką miarę. Teraz po cichu i bezwolnie chyliła się ku upadkowi, a postęp zaczął oznaczać postęp Maszyny.

Jeśli chodzi zaś o Waszti, życie jej toczyło się spokojnie aż do ostatecznej katastrofy. Zaciemniała pokój i usypiała; budziła się i pokój rozjaśniała. Wygłaszała wykłady i w wykładach uczestniczyła. Wymieniała poglądy z niezliczonymi znajomymi i wierzyła, że staje się coraz bardziej uduchowiona. Niekiedy komuś spośród znajomych przyznawano eutanazję, więc opuszczał on swój pokój i przechodził do tej Bezdomnności, która jest poza zasięgiem wszelkiego

ludzkiego rozumienia. Waszti to specjalnie nie przeszkadzało. Po nieudanym wykładzie sama niekiedy prosiła o eutanazję. Wszakże nie dopuszczano do tego, by liczba zgonów przekraczała liczbę narodzin i jak dotąd Maszyna odrzucała jej prośbę.

Kłopoty zaczęły się niepostrzeżenie, na długo przedtem, nim je sobie Waszti uświadomiła.

Pewnego dnia zdumiała się otrzymując wiadomość od syna. Ponieważ nie mieli ze sobą nic wspólnego, nigdy się nie kontaktowali i jedynie drogą pośrednią słyszała, że nadal żyje i że przeniesiono go z półkuli północnej, gdzie zachował się tak niestosownie, na półkulę południową w istocie do pokoju niezbyt od niej oddalonego.

„Czy chce, żebym go odwiedziła?" pomyślała. „Nigdy więcej, nigdy. No i nie mam na to czasu".

Nie, to było szaleństwo innego typu.

Nie zgodził się ukazać twarzy na sinej płytce i przemawiając w ciemności rzekł z powagą:

- Maszyna staje.

- Co mówisz?

- Maszyna zaczyna stawać, wiem o tym, znam symptomy.

Waszti wybuchnęła kaskadą śmiechu. Usłyszał ją, rozzłościł się i więcej nie rozmawiali.

- Czy potrafisz wyobrazić sobie coś bardziej absurdalnego? - wykrzyknęła do przyjaciółki. - Mężczyzna, który był moim synem, uważa, że Maszyna staje. Gdyby to nie było takie zwariowane, byłoby całkiem bezbożne.

- Maszyna staje? - odparła przyjaciółka. - Cóż to oznacza? Zwrot ten nic mi nie mówi.

- Mnie też nie.

- Przypuszczam, że nie robi on aluzji do zakłóceń, jakie ostatnio wystąpiły w muzyce?

- Och nie, oczywiście, że nie. Zatem porozmawiajmy o muzyce.

- Czy złożyłaś zażalenie do władz?

- Tak, a oni mówią, że konieczna jest naprawa i skierowali mnie do Komitetu Aparatu Naprawczego. Poskarżyłam się na te zagadkowe dychawiczne westchnienia, które zniekształcają symfonie szkoły brisbanskiej. Brzmi to jak jęki cierpiącego. Komitet Aparatu Naprawczego mówi, że niebawem się temu zaradzi.

Niejasno zaniepokojona Waszti podjęła normalne życie. Ale po pierwsze, ten defekt w

muzyce ją irytował. Po drugie, nie mogła zapomnieć tego, co mówił Kuno. Jeśliby wiedział, że muzyka jest w fatalnym stanie choć wiedzieć tego nie mógł, bowiem nie cierpiał jej - gdyby jednak wiedział, że muzyka się psuje, „Maszyna staje" było akurat taką właśnie jadowitą uwagą, jakiej nie omieszkałby uczynić. Oczywiście strzelał na chybił trafił, ale taki zbieg okoliczności zirytował Waszti i rozmówiła się z Komitetem Aparatu Naprawczego z pretensją w głosie.

Tak jak i poprzednio odparli, że defekt naprawi się niebawem.

- Niebawem! Natychmiast! - odparła. - Dlaczego ma mi dokuczać niedoskonała muzyka? Sprawy zawsze załatwia się natychmiast. Jeżeli nie naprawicie natychmiast, złożę skargę w Komitecie Centralnym.

- Komitet Centralny nie przyjmuje żadnych prywatnych skarg.

- Wobec tego za czyim pośrednictwem mam przekazać moje zażalenie?

- Za naszym.

- Więc składam zażalenie.

- Zażalenie pani zostanie w swoim czasie przekazane dalej.

- Czy inni też zgłaszali reklamacje?

Pytanie było niemechaniczne i Komitet Aparatu Naprawczego odmówił odpowiedzi.

- Gorzej być nie może! - wykrzyknęła do znajomego. - Świat nie widział kobiety równie nieszczęsnej jak ja. Nigdy teraz nie jestem pewna mojej muzyki. Za każdym razem, kiedy ją wzywam, okazuje się coraz gorsza.

- Ja też mam kłopoty - . odparł znajomy. - Czasami jakiś słaby, zgrzytliwy hałas zakłóca moje koncepcje.

- Cóż to takiego?

- Nie wiem, czy to u mnie w głowie, czy też wewnątrz ściany.

- W każdym bądź razie złóż zażalenie.

- Już to zrobiłem i moje zażalenie zostanie w swoim czasie przekazane do Komitetu Centralnego.

Upłynęło trochę czasu i defekty przestały im dokuczać. Wprawdzie ich nie usunięto, ale w tym późniejszym okresie tkanki ludzkie stały się tak niewolniczo podporządkowane, że z łatwością dostosowywały się do każdego kaprysu Maszyny. Waszti już nie irytowało westchnienie w

kulminacyjnym punkcie symfonii brisbanskiej; zaakceptowała je jako część melodii. Zgrzytliwy szmer w głowie czy też w ścianie już nie wywoływał sprzeciwu u znajomego. Podobnie było ze spleśniałymi sztucznymi owocami, podobnie z wodą do kąpieli, która zaczęła cuchnąć, to samo z nieudolnymi rymami, które nawykła klecić maszyna do poezji. Początkowo na wszystko uskarżano się z goryczą, potem pogodzono się i zapomniano. Bez sprzeciwu. Sprawy przybierały coraz gorszy obrót.

Zupełnie inaczej rzecz się miała z awarią aparatu do snu. To stanowiło znacznie poważniejszy przestój. Nadszedł dzień, gdy na calutkim świecie - na Sumatrze, w Wessex, w niezliczonych miastach Kurlandii i Brazylii - łóżka zawezwane przez zmęczonych właścicieli nie pojawiły się. Zdać się to może sprawą śmiechu wartą, ale od niej możemy datować upadek ludzkości. Komitet odpowiedzialny za awarię został zasypany skargami, które jak zwykle przekazał do Komitetu Aparatu Naprawczego, a ten z kolei zapewnił, że skargi będą przesłane dalej do Komitetu Centralnego. Lecz niezadowolenie rosło, gdyż rodzaj ludzki jeszcze dostatecznie się nie przystosował do tego, by obywać się bez snu.

- Ktoś manipuluje przy Maszynie - zaczęli.

- Ktoś próbuje obwołać się królem, na powrót wprowadzić element osobisty.

- Ukarać tego człowieka Bezdomnością.

- Na odsiecz! Pomścić Maszynę! Pomścić Maszynę!

- Do broni! Zabić tego człowieka!

Lecz teraz wystąpił Komitet Aparatu Naprawczego i zażegnał panikę starannie dobranymi słowy. Wyznał, że Aparat Naprawczy sam wymaga naprawy.

Efekt tego szczerego wyznania był godny podziwu.

- Naturalnie - rzekł słynny naukowiec, ten od Rewolucji Francuskiej, który każdy kolejny uwiąd przyodziewał w przepyszne szaty - oczywiście teraz nie będziemy się naprzykrzać z naszymi zażaleniami. W przeszłości Aparat Naprawczy traktował nas tak dobrze, że teraz wszyscy mu współczujemy i będziemy cierpliwie czekać na jego ozdrowienie. Przecież znowu podejmie obowiązki w odpowiednim dla siebie czasie. Tymczasem obejdźmy się bez naszych łóżek, pigułek i innych drobnych potrzeb. Takie, jestem przekonany, byłoby życzenie Maszyny.

Słuchacze odlegli o tysiące mil przyklasnęli. Maszyna łączyła ich jeszcze. Na dnie morza,

pod podstawą gór biegły kable, dzięki którym widzieli i słyszeli - przeogromne oczy i uszy stanowiące ich dziedzictwo - zaś szum licznych urządzeń przyodziewał ich myśli w jedną szatę niewolniczego oddania. Niewdzięczni pozostali tylko starzy i chorzy, bowiem krążyła plotka, że eutanazja też szwankuje i że wśród ludzi na nowo pojawił się ból.

Czytanie poczęło sprawiać trudności. W atmosferze pojawiła się pomroka, która przytłumiła jasność. Chwilami Waszti z trudem obejmowała wzrokiem pokój. Powietrze zrobiło się stęchłe. Głośne podniosły się wyrzekania, bezsilne były środki zaradcze, bohatersko brzmiał głos wykładowcy, gdy wołał:

- Odwagi! Odwagi! Czy naprawę coś się liczy, skoro funkcjonuje Maszyna? Dla niej ciemność i światło to jedno.

I chociaż po pewnym czasie sprawy uległy poprawie, dawnej świetności nigdy już nie odzyskano, a ludzkość nie zdołała się podźwignąć po tym wstąpieniu w półmrok. Słyszało się histeryczne wypowiedzi o „środkach zaradczych" i o „tymczasowej dyktaturze" zaś mieszkańcom Sumatry nakazano, by zaznajomili się z urządzeniami centralnej elektrowni, która mieściła się we Francji. Po większej jednak części szerzył się popłoch i ludzie trawili swe siły zanosząc modły do Ksiąg, owych namacalnych dowodów wszechmocy Maszyny. Paniczny strach szerzył się z różną siłą. Niekiedy dochodziły pokrzepiające wieści - Aparat Naprawczy był bez mała naprawiony - wrogów Maszyny poskromiono - powstawały nowe „centra nerwowe", które będą wykonywać wszystkie zadania jeszcze wspanialej niż dotychczas. Tymczasem nadszedł dzień, gdy bez najmniejszego ostrzeżenia, bez uprzedniego chociażby cienia uwiądu na calutkim świecie wysiadł cały system komunikacyjny i świat, taki jakim był w ich rozumieniu, skończył się.

W owej chwili Waszti akurat wygłaszała wykład i jej wcześniejsze spostrzeżenia wywołały oklaski. W toku wykładu słuchacze cichli, a przy podsumowaniu nie dobiegł ani jeden dźwięk. Nieco urażona Waszti zadzwoniła do przyjaciółki, która specjalizowała się we współczuciu. Brak sygnału: niewątpliwie przyjaciółka śpi. Sytuacja powtórzyła się z kolejną przyjaciółką, którą usiłowała wezwać, podobnie z następną, aż wreszcie Waszti przypomniała sobie zagadkową uwagę Kuna „Maszyna staje".

Zwrot ten nadal jej nic nie mówił, Jeżeli Wieczność akurat przystaje, to oczywiście wkrótce znowu nada się jej pęd.

Na przykład było jeszcze trochę światła i powietrza - atmosfera poprawiła się przed kilkoma godzinami. Nadal istniała Księga, a skoro jest Księga, to jest i bezpieczeństwo.

Potem załamała się, bowiem wraz z ustaniem aktywności wystąpił paraliżujący strach - cisza.

Nigdy dotąd nie zaznała ciszy i jej nadejście nieomal ją zabiło - faktem jest, że istotnie zabiło z miejsca kilka tysięcy ludzi. Zawsze, od samych narodzin, Waszti żyła otoczona niezmiennym szumem. Był tym samym dla ucha, czym sztuczne powietrze jest dla płuc, więc teraz głowa jej pękała od przejmującego bólu. I prawie nieświadoma tego, co czyni, pokuśtykała przed siebie i nacisnęła nieznany przycisk, ten, który otwierał drzwi jej celi.

Działanie drzwi opierało się otóż na własnym nieskomplikowanym zawiasie. Drzwi nie miały połączenia z centralną elektrownią dogorywającą właśnie w dalekiej Francji. Otwarły się budząc w Waszti nadmierne nadzieje, bowiem pomyślała, że naprawiono Maszynę. Stanęły otworem, a ona zobaczyła źle oświetlony tunel, który w oddali skręcał ku wolności. Jeden rzut okiem i skuliła się w sobie. Bowiem tunel zapełniony był ludźmi Waszti stanowiła w tym mieście ostatnią chyba istotę, która uległa panice.

W każdej sytuacji ludzie budzili w niej odrazę, a ci tutaj przedstawiali sobą koszmar z jej najgorszych snów. Wszędzie ludzie czołgali się, przeraźliwie wrzeszczeli, skamleli, otwartymi ustami łapali powietrze, dotykali się nawzajem, znikali w mroku i raz po raz spychali się z peronu na szynę pod napięciem. Paru mocowało się wokół elektrycznych dzwonków usiłując sprowadzić pociągi, których sprowadzić już nie można. Inni darli się żądając eutanazji i respiratorów lub bluźniąc Maszynie. Byli też tacy, co tak jak Waszti stali w drzwiach swych cel, w których bali się zostać, ale też bali się je opuścić. A poza całym tym zgiełkiem była cisza - cisza, która jest głosem ziemi oraz pokoleń, które przeminęły.

Nie - to gorsze niż samotność. Waszti znowu zamknęła drzwi i usiadła w oczekiwaniu końca. Rozpad postępował dalej, w akompaniamencie ohydnych trzasków i dudnień. Zawory podtrzymujące Aparat Naprawczy musiały osłabnąć, gdyż popękał i zwisał obrzydliwie u sufitu. Podłoga uniosła się, opadła i wyrzuciła Waszti z fotela. Jakaś rura wiła się ku niej na podobieństwo żmii. A w końcu nadeszła ostateczna tragedia - światło zaczęło niknąć i teraz Waszti już wiedziała, że oto zamyka się długa doba cywilizacji.

Okręciła się wokół zanosząc modły, by oszczędzono jej tego; całowała Księgę, naciskała przycisk za przyciskiem. Zgiełk za drzwiami wzmagał się i nawet przenikał przez ścianę. Z wolna jasność celi uległa przytłumieniu, zatarły się odblaski na metalowych przełącznikach. Niebawem Waszti nie mogła już dojrzeć pulpitu, a za chwilę nawet Księgi, mimo że trzymała ją w dłoni. W ślad za pierzchnięciem dźwięku poszło światło, za światłem powietrze i do groty powróciła pierwotna nicość, którą stamtąd na tak długo wykluczono. Waszti wciąż jeszcze wirowała, podobna wyznawcom wcześniejszych religii, przeraźliwie krzycząc, modląc się i waląc zakrzywionymi dłońmi we wszystkie przyciski.

I tak się stało, że otworzyła swe więzienie i uciekła - uciekła duchem; przynajmniej tak mi się zdaje, bo wkrótce moje rozważania się skończą. Co do fizycznej ucieczki - nie, tego nie potrafię sobie wyobrazić. Przypadkowo uderzyła przycisk odmykający drzwi i podmuch stęchłego powietrza na skórze oraz głośne szepty walące w uszach oznajmiły jej, że stoi twarzą do tunelu i tego niezmierzonego peronu, na którym przedtem widziała walczących ludzi. Teraz nie walczyli. Ostały się tylko szepty i słabe, płaczliwe jęki. Umierali tam w mroku setkami.

Wybuchnęła płaczem.

Odpowiedział jej płacz.

Tych dwoje przelewało łzy nad ludzkością, nie nad sobą. Nie mogli pogodzić się z faktem, że to ma być koniec. Nim cisza zapanowała niepodzielnie, ich serca stanęły otworem i poznali to, co na ziemi było kiedyś naprawdę ważne. Człowiek, kwiat wszelkiej materii, najszlachetniejszej ze wszystkich widzialnych stworzeń; człowiek, który niegdyś stworzył boga na podobieństwo swoje i odzwierciedlił swą siłę wśród gwiazdozbiorów; piękny nagi człowiek umierał zaplątany w szaty, które sam utkał. Całymi wiekami trudził się i oto jego nagroda. Prawda, że początkowo szata zdawała się niebiańska, mieniąca się barwami kultury, szyta nicią samozaparcia. I niebiańską pozostawała tak długo, dopóki była tylko szatą i niczym więcej; tak długo, jak człowiek mógł ją dowolnie zrzucić i żyć treścią, którą stanowi jego dusza i treścią, równie boską, jaką jest jego ciało. Grzech przeciwko ciału - z tego głównie powodu płakali; z powodu wieków krzywdy zadanej mięśniom i nerwom oraz tych pięciu przęsłom, na których wsparte jest całe nasze postrzeganie - niesprawiedliwości lukrowanej mową o ewolucji, aż z ciała zrobiła się biała paćka, siedlisko idei równie bezbarwnych i źródło ostatnich pokracznych podrygów ducha, który dosięgnął gwiazd.

- Gdzie jesteś? - załkała.

- Tutaj - z ciemności dobiegł jego głos.

- Czy jest jakaś nadzieja, Kuno?

- Dla nas nie ma żadnej.

- Gdzie jesteś?

Podpełzła ku niemu poprzez ciała zmarłych. Jego krew trysnęła na jej dłonie.

- Szybciej - dyszał - umieram - ale dotykamy się, rozmawiamy bez pośrednictwa Maszyny.

Pocałował ją.

- Powróciliśmy do tego, co nasze. Umieramy, lecz uchwyciliśmy życie takim, jakie było w Wessex, kiedy Elfryd odparł skandynawskich najeźdźców. Wiem to, co wiedzą oni tam na zewnątrz, co wiedzą ci, którzy zamieszkiwali chmurą koloru perły.

- Lecz Kuno, czy to aby prawda? Czy na powierzchni ziemi są jeszcze ludzie? Czy ten - ten tunel, ta zatruta ciemność - naprawdę nie są końcem?

Odparł:

- Widziałem ich, rozmawiałem z nimi, pokochałem ich. Ukrywają się wśród mgły i paproci czekając końca naszej cywilizacji. Dziś są Bezdomni - jutro...

- Ach, jutro - jutro jakiś głupiec znowu uruchomi Maszynę.

- Nigdy - rzekł Kuno - nigdy. Ludzkość dostała już swą lekcję.

A kiedy to mówił, całe miasto rozpadło się niby plaster miodu. Jakiś statek powietrzny wyleciał poprzez womitorium na leżącą w gruzach przystań. Zwalił się z góry i w trakcie tego eksplodował rozpruwając kolejne rzędy swymi skrzydłami ze stali. Przez jedno mgnienie ujrzeli państwa zmarłych i nim się do nich przyłączyli, dostrzegli także skrawki nieskalanego nieba.

Przełożyła HANNA KOBUS